

IWONA KIENZLER



Arystokracja

*Romanse
i miłości
w XX stuleciu*



Arystokracja

IWONA KIENZLER



—◆—◆—

Arystokracja

*Romanse
i miłości
w XX stuleciu*

—◆—◆—



Konsultacja: Sylwia Łapka-Gołębiowska

Redakcja: Ewa Popielarz

Korekta: Marek Kowalik

Skład: Igor Nowaczyk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcie na okładce: © Olena Zaskochenko/123rf.com

Zdjęcie autorki: © Maciej Zienkiewicz Photography

Źródła ilustracji: zbiory Narodowego Archiwum Cyfrowego,
PAP, domena publiczna.

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska






© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2018

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-09-4

L i R A
W Y D A W N I C T W O
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Druk i oprawa: Pozkał

*Arystokracja międzywojnia,
dobrego smaku to rękojmia,
wychowywana w patriotyzmie,
aby służyć swojej ojczyźnie.*

*Wiele zaś wybitnych postaci
wśród arystokratycznej braci
czynami dzieje swe barwiło
od miłostek też nie stroniło.*

*Zamoyski znaną postacią był,
równie ciekawie Radziwiłł żył,
Potocki w pałacu zaś rządził
w Łańcucie pannom w głowach mącił.*

*Tyszkiewicz mezalians popełnił,
Ordonce aż nazbyt był wierny,
Osterwa Sapieżankę poślubił,
wszelkie konwenanse pogubił.*

Wstęp

Słowo „arystokracja” wywodzi się z języka starogreckiego i powstało na skutek połączenia dwóch wyrazów: *áristos* — „najlepszy”, oraz *kratós* — „władza”, dla oznaczenia klasy społecznej stanowiącej elitę sprawującą władzę. Termin ten funkcjonował jeszcze w starożytności, aczkolwiek dopiero w czasach nowożytnych zyskał znaczenie, z jakim kojarzymy go obecnie. Wówczas to wykształciła się rozbudowana, hierarchiczna struktura społeczna i pojawiły się dziedziczne tytuły w rodzaju książąt, baronów, hrabiów czy też margrabiów, ściśle związane ze sprawowanymi urzędami, własnością ziemską, lenną zależnością od władcy-suwerena, któremu członkowie warstwy możnowładczej winni byli bezwarunkowe posłuszeństwo. Warto dodać, że wszystkie wymienione tytuły były dziedziczne.

W Polsce proces kształtowania się arystokracji przebiegał nieco inaczej niż w pozostałej części Europy, a elitę naszego narodu w początkach formowania się państwa tworzyli członkowie drużyn książęcych, z czasem przekształcając się w rycerstwo utrzymujące się z ziemi nadanej prawem lennym. W średniowieczu najwyższym książęciem urzędnikom przysługiwał tytuł comesa, ale

— przeciwnie niż miało to miejsce w pozostałych europejskich krajach — nie był to tytuł dziedziczny i nawet jeżeli dany urząd piastowało kilka pokoleń jednego rodu, to nie przechodził on automatycznie z ojca na syna. Przejęcie urzędu oraz związane z nim tytułu każdorazowo wiązało się z koniecznością potwierdzenia tego faktu przez władcę, a od XV stulecia — przez parlament, czyli Sejm.

W związku z tym, że w Polsce wśród szlachty panowała zasada równości szlacheckiej, wyrażająca się w powiedzeniu: „Szlachcic na zagrodzie wolny wojewodzie”, nigdy nie wykształcił się zwyczaj nadawania dziedzicznych tytułów arystokratycznych, właśnie ze względu na sprzeczność ze wspomnianą regułą. Nie znaczy to jednak, że polska arystokracja nie istniała, jej rolę bowiem spełniała magnateria, najwyższa i zarazem najbogatsza część szlacheckiej braci. I chociaż żaden z jej członków nie mógł pochwalić się tytułem ani urzędem dziedzicznym, jak chociażby angielscy lordowie czy francuscy parowie, to przecież magnaci odgrywali znacznie większą rolę w rządach i mieli znacznie większe wpływy niż nawet najbogatsi i najbardziej utytułowani arystokraci w pozostałych krajach Europy. Było to związane ze słabością władzy centralnej w naszym państwie, zwłaszcza w dobie monarchii elekcyjnej.

Z biegiem czasu różnice w statusie majątkowym polskiej szlachty pogłębiały się coraz bardziej, a największe majątki oraz najwyższe godności w państwie skupiły się w rękach kilkunastu najzamożniejszych magnackich rodów. Ponieważ szlachcicom posiadającym najwyższe

urzędy ziemskie przysługiwało prawo do zasiadania w Senacie — izbie wyższej polskiego parlamentu — zaczęli się oni nazywać bracią starszą lub stanem senatorskim. W końcu część z nich, głównie ze względów ambicjonalnych, zapragnęła też stosownych tytułów, a skoro było to nieosiągalne w kraju, starano się je uzyskać od władców zagranicznych, zwłaszcza od hojnie szafujących wszelkiego rodzaju tytułami Habsburgów. I tak, już w 1547 roku Mikołaj Radziwiłł zwany Czarnym, rodzony brat nieszczęsnej Barbary Radziwiłłówny, uzyskał od cesarza Karola V tytuł księcia Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Z rąk Habsburgów tytuły książęce otrzymali również Kacper Denhoff, Stanisław Lubomirski i Jerzy Lubomirski, natomiast hrabią, także za sprawą cesarza, został Sebastian Lubomirski. Nadawanie tytułów przestało budzić kontrowersje za czasów saskich, kiedy do Polski, wraz z dworami Augusta II Mocnego i jego następcy Augusta III, zawitało wielu saskich urzędników noszących tytuły arystokratyczne. Po wstąpieniu na tron ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego, Sejm nadał książęce tytuły jego trzem braciom — Kazimierzowi, Andrzejowi oraz Michałowi.

Także car Aleksander I, piastujący wszak oficjalny tytuł króla Polski, dokonał pewnych nadań, obdarzając tytułem książęcym generała Józefa Zajączka oraz Joannę Grudzińską, wielką miłość carskiego brata, księcia Konstantego. Warstwa, którą współcześnie nazywamy arystokracją, tak naprawdę pojawiła się na arenie historii naszego państwa na przełomie XVIII i XIX stulecia.

Pisząc o polskiej arystokracji, nie sposób nie wspomnieć o tak zwanej ordynacji, inaczej — fideikomisie rodowym, instytucji powołanej do życia w celu przeciwdziałania rozdrobnieniu rodowego majątku. Nie jest to polski wynalazek, po raz pierwszy zastosowano ją w średniowiecznej Hiszpanii, w czasach gdy władzę przejęli tam Habsburgowie, a potem była szeroko stosowana na terenie całej Europy. Majątek, na którym ustanowiono ordynację, pozostawał niepodzielny i mógł być dziedziczony wyłącznie przez jednego członka rodziny, z wyłączeniem pozostałych krewnych. Osobę tę, zwaną ordynatem, wybierano według ścisłych reguł zdefiniowanych w statucie rodu. Niezbędnym warunkiem było uzyskanie zgody władz państwa, w którym znajdował się majątek. W Polsce taką zgodę na utworzenie ordynacji musiał wyrazić Sejm, a w czasach zaborów — władze państwa, na terenie którego znajdowały się ziemie mające wchodzić w skład tworzonej ordynacji. Podczas zaborów najczęściej takich tworów powstało na terenie zaboru pruskiego, a najmniej — ze względu na obowiązujące tam biurokratyczne przepisy — w zaborze rosyjskim. Paradoksalnie to właśnie na ziemiach polskich pozostających we władaniu caratu powstały jednak najobszerniejsze terytorialnie ordynacje. Osoba posiadająca tytuł ordynata cieszyła się wielkim szacunkiem nie tylko w XIX wieku, ale także w czasach II RP.

Pisząc o arystokracji, nie sposób nie wspomnieć, iż to właśnie dzięki staraniom tej warstwy przetrwała polska kultura. Wszak to właśnie na barkach jej członków

spoczął obowiązek zakładania i utrzymywania wszelkiego rodzaju muzeów, teatrów czy innych placówek kulturalnych, sponsorowania organizacji społecznych i fundowania stypendiów dla uzdolnionych artystów i młodych naukowców.

Odrodzona po 123 latach zaborów Polska przyniosła zrównanie wszystkich obywateli pod względem prawnym, a przyjęta w marcu 1921 roku ustawa zasadnicza stanowiła: „Rzeczpospolita Polska nie uznaje przywilejów rodowych ani stanowych, jak również żadnych herbów, tytułów rodowych i innych, z wyjątkiem naukowych, urzędowych i zawodowych. Obywatelowi Rzeczypospolitej nie wolno przyjmować bez zezwolenia Prezydenta Rzeczypospolitej tytułów ani orderów cudzoziemskich”. Nie oznaczało to jednak całkowitego zniesienia szlachectwa ani tytułów, a jedynie zakaz posługiwania się nimi w sferze publicznej i państwowej, dlatego tytuły hrabiowskie czy książęce nadal były używane, ale wyłącznie na platformie życia społecznego, a przede wszystkim — towarzyskiego.

Badacze zajmujący się dziejami arystokratycznych rodów polskich nie są zgodni co do tego, ile szlacheckich rodzin przed wybuchem I wojny światowej dysponowało prawem do tytułu. Według jednych było to 286 rodów, w tym 14 książąt i jeden margrabia, a pozostali to baronowie i hrabiowie, inni natomiast podają liczbę 217, w tym 21 książąt. Arystokracja ze zrozumiałych względów stanowiła więc mniejszość w społeczeństwie II Rzeczypospolitej, ale wpływ członków tej warstwy zarówno

na gospodarkę odrodzonego państwa, jak i na ważne decyzje polityczne był niemały. Wystarczy wspomnieć, że jednym z kandydatów na urząd prezydenta był, obok Gabriela Narutowicza, ordynat Maurycy Zamoyski, który przegrał tylko dlatego, że nie chcieli na niego głosować posłowie chłopscy. Także inni arystokraci nie stronili od polityki: książę Eustachy Sapieha był ministrem spraw zagranicznych w rządzie Władysława Grabskiego, wspomniany Maurycy Zamoyski był ambasadorem we Francji, a Edward Raczyński reprezentował Rzeczpospolitą przy Lidze Narodów w Genewie. O poparcie członków tej warstwy zabiegali usilnie najważniejsi politycy międzywojnia, z samym Józefem Piłsudskim na czele. Choć już wówczas nie brakowało osób twierdzących, że arystokraci są jedynie reliktem minionej epoki, a w dobie demokratyzacji życia publicznego nie ma miejsca na żadne tytuły i herby, wciąż cieszyli się oni wielkim prestiżem społecznym, a ich życie prywatne — zainteresowaniem opinii publicznej porównywalnym do tego, jakim w dobie obecnej cieszą się celebryci oraz gwiazdy kina i telewizji. Z uwagą śledzono wszystkie doniesienia o życiu członków tej warstwy, o ekscesach ekscentryków, których nie brakowało wśród książąt i hrabiów. Z wypiekami na twarzy czytano reportaże z wizyt zagranicznych gości, w tym koronowanych głów w łańcuckim pałacu, w którym rezydował hrabia Alfred Potocki, przyjmujący gości w iście królewskim stylu, ale najbardziej interesowano się doniesieniami o małżeństwach i romanсах. Polscy arystokraci zawierali małżeństwa głównie

w obrębie własnej warstwy, czasami wstępując w związki z członkami rodów arystokratycznych wywodzących się z zagranicy. Bywało jednak i tak, że idąc za głosem serca, poślubiali kogoś z innej warstwy, popełniając mezalians, co z reguły oznaczało ostracyzm własnego środowiska, aczkolwiek nie zawsze. Zdarzało się bowiem, że rodzina, co prawda z wielkim bólem serca, zgadzała się na taki „nieprawomyślny” związek. Przykładem było chociażby małżeństwo Matyldy Sapieżanki, która popełniła niewątpliwy mezalians, wychodząc za, co prawda sławnego, aktora Juliusza Osterwę, w dodatku starszego od niej o ponad dwadzieścia lat. A przecież najmłodszą córkę księcia Pawła Sapiehy i Matyldy księżnej Sapiehy, z domu księżniczki węgierskiej Windisch-Graetz, w dodatku bratanicę samego metropolity krakowskiego Adama Stefana Sapiehy, stać było na znacznie lepszą partię.

I właśnie takim nietypowym związkom i romansom polskiej arystokracji w XX wieku, bulwersującym nie tylko ówczesną opinię publiczną, ale przede wszystkim własne środowisko, poświęcona jest niniejsza publikacja, w której poznamy losy ludzi w imię uczucia ważących się na pogwałcenie wielowiekowych norm i konwenansów.



August Zamoyski obok swojej rzeźby na wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie w 1936 r.

ROZDZIAŁ 1

*Kobiety i sztuka,
czyli przypadki
miłosne Augusta
Zamoyskiego*

Legenda głosi, jakoby zacny ród Zamoyskich wywodził się od legendarnego rycerza Floriana Szarego, poddanego Władysława Łokietka, który, widząc, jak ciężkie obrażenia odniósł ów dzielny wojownik w bitwie pod Płowcami, miał mu przyznać herb Jelita. W rzeczywistości jednak początki Zamoyskich herbu Jelita wyglądają dużo skromniej: historycznym protoplastą rodziny był Tomasz z Łaźnina, który mniej więcej w połowie XV stulecia zakupił dwie wsie, Wierzbę i Zamość, a jego synowie nosili już nazwisko Zamoyscy. Kolejni potomkowie Tomasza systematycznie pomnażali rodowy majątek, wspinając się przy okazji po szczeblach drabiny społecznej, ale twórcą potęgi i znaczenia rodu był niewątpliwie Jan Zamoyski, człowiek wykształcony i bywały w świecie, który zdobył zaufanie i przyjaźń króla Stefana Batorego. Zostając w 1578 roku kanclerzem wielkim koronnym, a trzy lata później — hetmanem wielkim koronnym, skupił w swoich rękach zarówno władzę cywilną, jak i wojskową, stając się drugim obok monarchy najważniejszym człowiekiem w państwie. I chociaż żaden z jego potomków nie dorównał mu ani talentem, ani wpływami, to przecież ród Zamoyskich wydał wielu ludzi zasłużonych dla Rzeczypospolitej. Co więcej, jak słusznie zauważa Saturnin Sobol w swojej publikacji, żaden z nich nigdy „nie zhańbił się zdradą narodową czy niegodziwymi uczynkami”¹, czego nie da się powiedzieć chociażby o Radziwiłłach czy Potockich.

Znany brytyjski historyk polskiego pochodzenia Adam Zamoyski, autor wielu książek poświęconych

historii naszego państwa, w jednym z wywiadów opowiadał, że jego matka, Elżbieta Zamoyska z Czartoryskich, określiła rodzinę swego męża Stefana jako nudną, mając zapewne na myśli fakt, iż wśród Zamoyskich próżno szukać barwnych czy kontrowersyjnych postaci na miarę Karola Radziwiłła „Panie Kochanku”. Pani Zamoyska jednak była w błędzie, gdyż szacowny ród panów na Zamościu może poszczycić się przynajmniej jednym nader ciekawym człowiekiem, który poważił się na zdeptanie towarzyskich konwenansów właściwych swojej klasie, poświęcając się sztuce i miłości, przy okazji zdobywając sławę najwybitniejszego, obok Xawerego Dunikowskiego, dwudziestowiecznego rzeźbiarza polskiego. Mowa o Augustie Zamoyskim, mistrzu dłuta, którego twórczość jest znacznie bardziej znana za granicą, zwłaszcza w Ameryce Południowej, niż w jego własnej ojczyźnie.

Trzeba przyznać, że już same okoliczności przyjścia na świat syna Tomasza Zamoyskiego i Ludmiły z węgierskiej linii Zamoyskich wróżyły mu dość burzliwe, żeby nie powiedzieć — awanturnicze życie. „Urodziłem się na koniu w lesie. Zaczyna, twarda i sroga (szczególnie dla siebie) matka moja, podczas ранnego objazdu po majątku konno — powiła mnie w gajówce, a nie w szpitalu, przy pomocy wdowy po Mazurku, gajowym, zastrzelonym przez kłusownika”² — opowiadał po latach. Do tego znamienitego wydarzenia doszło 28 czerwca 1893 roku, na terenie majątku Zamoyskich w Jabłoniu na Lubelszczyźnie. Mówiono, że po matce, Węgierce, odziedziczył iście ognisty temperament, natomiast po ojcu, Polaku,

stanowczość i upór. Przyszły rzeźbiarz miał jeszcze dwie siostry — Elżbietę oraz Efrydę, a cała rodzina mieszkała początkowo w niewielkim pałacyku, wzniesionym jeszcze przez poprzednich właścicieli majątku, który z czasem Tomasz przebudował w stylu neogotyckim, na wzór modnych wówczas rezydencji angielskich.

Jak przystało na potomków znamienitego założyciela Akademii Zamoyskiej, rodzice Augusta zadbali o jego staranne wykształcenie, posyłając chłopca do Warszawy, gdzie uczył się w gimnazjum generała Pawła Chrzanowskiego przy ulicy Smolnej 11. Jednak sam artysta wspominał, że właściwie ukształtowało go trzech ludzi, określanych mianem „mistrzów”, których dane mu było spotkać w rodzinnym Jabłoniu. Pierwszym z nich był niejaki pan Guga, sąsiad z Wierzenicy, domorośły filozof, cierpliwie wyjaśniający przyszłemu rzeźbiarzowi „kwadraturę koła istnienia”. Drugi to folwarczny kowal o artystycznym zacięciu, nazwiskiem Bronikowski, natomiast trzecim mistrzem był stolarz Grzeszczuk. Chłopiec był tak bardzo zafascynowany pracą dwóch ostatnich z wymienionych, że całymi dniami przesiadywał w ich pracowniach, aczkolwiek w tym przypadku bardziej uprawnione byłoby użycie terminu „warsztat”. Co ciekawe, jego rodzice nie tylko nie widzieli w tym nic złego, ale nawet popierali zainteresowanie syna rzemiosłem, skądinąd słusznie sądząc, iż znajomość podstaw kowalstwa, stolarstwa oraz innego rodzaju prac rzemieślniczych ułatwi Augustowi prowadzenie majątku w przyszłości. Ale nawet w najgorszych koszarach

nie śnili, że ich potomek wykorzysta zdobytą wiedzę i umiejętności w zupełnie innych celach. „Tak otrzymałem podstawy filozofa i rzemieślnika (...) — opowiadał w jednym z wywiadów udzielanych w czasach, gdy był już uznanym rzeźbiarzem. — Równocześnie rysowałem pasjami od dziesiątego roku życia, głównie karykatury, i w różnych materiałach, jak żelazo i drzewo, kułem i strugałem”³.

Uzyskawszy świadectwo dojrzałości, August, zgodnie z wolą rodziców, wyruszył za granicę, by kontynuować swoją edukację: w Szwajcarii chodził na wykłady z ekonomii, a na uniwersytecie w niemieckim Heidelbergu uczył się filozofii. Mimo szczerych chęci zdobycia rzetelnej wiedzy wciąż ciągnęło go w kierunku sztuki, dlatego przeniósł się do Berlina, by uczęszczać na kursy rysunku prowadzone przez Lovisa Corinthy, niemieckiego artystę malarza, którego twórczość, jak uważa się dzisiaj, wywarła niebagatelny wpływ na niemiecki impresjonizm i ekspresjonizm.

Rok 1914 przyniósł światu Wielką Wojnę, za sprawą której August został nie tylko oderwany od rodziny, ale także jako obywatel wroga Prus — Imperium Rosyjskiego — trafił do niemieckiego obozu jenieckiego. Wobec narastającej groźby epidemii cholery Zamoyski chciał się za wszelką cenę wydostać z obozu, a ponieważ Niemcy szukali różnego rodzaju fachowców i rzemieślników, którzy mogli wyjść z obozu w zamian za pracę, ubzdurał sobie, że jako rzeźbiarz, za którego się podał, będzie mógł uchronić się przed obozową mizerią. Czas pokazał, jak

naiwne były te nadzieje. August wkrótce zachorował, dzieląc smutny los pozostałych jeńców, pozbawionych nie tylko podstawowych lekarstw, ale przetrzymywanych w warunkach urągających podstawowym wymogom higieny. Chorych umieszczano w stajniach, na słomie, przykrywając ich jedynie brudną derką. Zdarzało się, że obok wciąż żywych ludzi na sąsiednim sienniku tygodniami leżały zwłoki, których ze względu na zmarzniętą ziemię nie można było zakopać. Zrezygnowany August stopniowo tracił nadzieję na wyzdrowienie, ale wszystko zmieniło się na lepsze, gdy niespodziewanie odwiedził go pewien Polak, wchodzący w skład inspekcji Czerwonego Krzyża wizytującej obozowe lazarety. Kiedy zadał Zamoyskiemu standardowe pytanie o adres, ten, niewiele myśląc, podał miejsce zamieszkania swojej ciotki ze strony matki, pani Zamoyskiej z linii węgierskiej rodu, *nota bene* damy dworu wiedeńskiego.

Magia nazwiska działała w tym przypadku rzeczywiście cuda, ponieważ August najpierw został przewieziony do Berlina, gdzie umieszczono go w szpitalu z prawdziwego zdarzenia, a potem nawet odzyskał wolność, co prawda nie do końca, ale mógł wreszcie opuścić mury obozu i zacząć żyć po swojemu. Musiał jedynie meldować się dwa razy dziennie na komendzie wojskowej i nie opuszczać mieszkania po godzinie dziewiętnastej. Wciąż przechodził rekonwalescencję w miejscowym szpitalu, w którym przebywali także ranni żołnierze. Ich przełożeni zadbali jednak o stosowne rozrywki, organizując dla nich występy artystyczne, przedstawienia teatralne czy